

TOWARZYSZ PORUCZNIK

1950 rok. Listopad

Konarski spojrział w oczy podejrzanemu i utrzymując kontakt wzrokowy wyciągnął zza pazuchy cezetę, po czym położył ją na blacie niewielkiego kafłowego pieca. Piec był chłodny. To tłumaczyło ziąb, panujący nie tylko w klaustrofobicznym saloniku, ale i w całej chacie. Jej właściciel z pewnością nie należał do domatorów. Świadczyły o tym nie tylko zalegający na meblach kurz, ale i szron, który osadził się po wewnętrznej stronie szyb. Konarski rozejrzał się jeszcze raz po skromnie, a wręcz spartańsko urządzonej izbie i znów wbił wzrok w obserwującego go podejrzanego. Harda postawa, jaką starał się prezentować mężczyzna, nie zwiodła podporucznika Milicji Obywatelskiej. Gdzieś tam z tyłu tej młodej głowy czaiło się zimne, cuchnące kwaśnym potem przerażenie. Potęgowane chłodną stalą kajdan opinających nadgarstki osobnika oraz faktem, że Konarski otworzył stalowe drzwiczki pieca i sięgnął do jego wnętrza. Wyciągając cały plik ulotek i różnorakich dokumentów.

— Naprawdę? — Wraz z pytaniem, z ust oficera wydobył się obłok zmrożonej pary. — Trudno wysilić się na lepszą skrytkę? — Pytanie było retoryczne. Toteż nie spotkało się z odpowiedzią.

Milicjant przejrzał pobieżnie znalezione papiery, natrafiając na dobrze znane mu manifesty i odezwy. Związał je sprawnie sznurkiem w jeden pakunek, który schował pod noszonym, grubym granatowym płaszczem.

— To — wskazał palcem na wyciągnięty wcześniej pistolet — jest czechosłowacki pistolet CZ 27 produkowany w czasie wojny na potrzeby niemieckiej armii — rozpoczął krótki wykład na powrót wbijając swój wzrok w błękit źrenic młodego podejrzanego. — Umiesz się tym posługiwać?

Młody z początku zastygł w bezruchu. Następnie, jakby po chwili niezdecydowania, odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

— To dobrze. Bo użyłeś go dwa tygodnie temu w czasie napadu na pocztę w Starych Radzicach. A tu — Konarski wyciągnął z kieszeni urzędową pieczętkę i kilka banknotów pochodzących ze skrytki z materiałami dowodowymi — mam część twojego łupu. Resztę zdążyłeś już przejeść.

— Myślisz, że się boję sowiecka gnido? Ciebie i twoich ubeckich metod? — wysyczał tamten.

— Lepiej dobrze zapamiętaj, co ci właśnie powiedziałem. Bo inaczej naprawdę poznasz te metody — uciał beznamiętnym głosem oficer. I wezwał stojących do tej pory na zewnątrz wiejskiej chaty szeregowych milicjantów.

— Zabrać mi go na posterunek i do celi.

„Ubeckie metody” – zachnął się w myślach. Przypominając sobie wydarzenia sprzed półtora roku.

* * *

Rok 1949. Kwiecień.

Sprawa zabójstwa lokalnego starosty wydawała się być prosta. Według świadków, miejscowych chłopów, wczesnym rankiem rozniósł się po wsi huk wystrzału, który uprzedził pianie koguta. Gdy okoliczny lud zbiegł się do chaty starosty, skąd dźwięk ów wybrzmiał, u progu domostwa zastał lamentującą przy martwym ciele starościny. Zrazu nie było wiadomo, jak do nieszczęścia doszło. Dopiero, gdy na miejscu pojawiła się milicja, wdowa smarkając, krztusząc się i jęcząc zeznała, że mąż bił i znęcał się nad nią całymi latami. Co natychmiast zostało gorliwie potwierdzone przez kilku świadków. Według opisu podejrzanej, ta w końcu nie wytrzymała i zastrzeliła męża w obronie przed kolejną napaścią. Jego własną bronią. Gdy do zdarzenia przyjechał Konarski, pierwszy rzut oka na miejsce zbrodni wystarczył mu, by nabrać podejrzeń, co do zeznań kobiety.

Tuż przed wojną ukończył Centralną Szkołę Policji Państwowej w Mostach Wielkich, gdzie szkolono go do roli śledczego kryminalnego. Doświadczenia z okresu wojny i po niej, dały mu dostateczną wiedzę do tego, by móc natychmiast ocenić sytuację. Broń leżąca przy denacie nie nosiła śladów niedawnego użycia. I miała zbyt mały kaliber, by wywołać tak spektakularny efekt. Ofiara została zastrzelona na progu, najprawdopodobniej po otwarciu drzwi domostwa. Przez osobę stojącą na zewnątrz. Znajdujący się na czole starosty, czarny, okrągły ślad po prochu i oparzeniu świadczył, iż strzał został oddany z przystawienia. Najprawdopodobniej przez osobę co najmniej podobnego wzrostu, do wzrostu zabitego. Tymczasem jego żona była niezwykle drobnej postury i na oko mogła sięgać małżonkowi do ramion. „Nawet gdyby chciała strzelać do starego, strach nakazałby jej pociągnąć za spust zanim ten mógłby ją sięgnąć rękami. I nawet gdyby celowała, to zapewne w korpus. Nie w środek czoła” – pomyślał śledczy, rozglądając się po zakrwawionej sieni, w której leżał denat. Starosta splamił swoimi myślami niemal całe pomieszczenie. Resztki mózgu, czaszki i spora ilość krwi oblepiały ściany i podłogę. Śledczy zlustrował jeszcze raz miejsce zbrodni, choć miał pewność, że wiedział już wystarczająco wiele. Na tyle, by zadać kobiecie pytania, na które z pewnością nie potrafiłaby odpowiedzieć.

I wtedy na miejsce dotarła ubecja.

— Eto nashe delo. Nichego zdes' dlya vas — oznajmił złowrogo jeden z funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

— Żona zastrzeliła męża w obronie własnej. To mi wygląda na kryminał...

— Politicheskiy delo — przerwał Konarskiemu tamten. — Von!

Rosjanie zabrali wdowę do samochodu i przystąpili do przeszukiwania domu starosty. Kobieta przestała szlochać, a pierwszy szok został najwyraźniej zastąpiony przez przerażenie. Siedząc na tylnej kanapie pojazdu, starościna przeżegnała się ukradkiem i zaczęła się modlić. Pochylając ciało to do tyłu to do przodu, jakby była w jakimś transie.

Podporucznik milicji poczuł coś w rodzaju współczucia. Wiedział, że wdowa zostanie przesłuchana przez ludzi nie mających zielonego pojęcia o prowadzeniu śledztwa. Jediną metodą stosowaną na niższych szczeblach UB była brutalność. Konarski nie liczył też, by ta zgraja tępych amatorów doszła choćby do ćwierci wniosków, jakie on wyciągnął w pierwszych sekundach od swojego przyjazdu. I nie pomylił się zbyt. Ubecy byli zainteresowani wszystkim, prócz denatem i sienią, w której leżał. Przetrząsnięto natomiast całą resztę chałupy i gospodarstwa, zapewne w poszukiwaniu dokumentów, a być może i ukrytej broni.

Oficer milicji nie miał zamiaru się temu długo przyglądać. Stwierdził jednak, że poświęci sprawie jeszcze jedną wizytę. Wprawdzie objął posterunek zaledwie kilka miesięcy

wcześniej i nie znał jeszcze wszystkich mieszkańców w okolicy, to jednak miał już styczność z zabitym starostą. I jego rodziną.

* * *

— Towarzysz Eugeniusz Mikołajski? — pytanie było jedynie formalnością, gdyż Konarski poznał kiedyś syna starosty. Niewiele o nim wiedział, nie wymienił z nim dłuższego zdania, jednak zapamiętał go.

— Towarzysz porucznik... — rozpoznanie było obustronne. Dwudziestoparolatek szybkim spojrzeniem omiół podwórze rozpościerające się za plecami oficera.

— Przyjechałem sam. Ale lepiej będzie, gdy mnie wpuścisz.

Chata była niewielka, skromie urządzona, choć schludnie utrzymana. Usiedli na taboretach, przy drewnianym stoliku w kuchni.

— Żona wyjechała?

— Do rodziców, towarzyszu oficera. Do Mostek.

— Czyli dobrze odgadłem. Szkoda, że nie miałem jeszcze okazji poznać. Ciekawym, czy i inne rzeczy dobrze odgaduję. — Młody Mikołajski nie odpowiedział. Konarski po chwili pauzy ciągnął dalej: — spokój tu u was na uboczu cisza. Z dała od matecznika.

— Jakoś tak wyszło towarzyszu. Udało się chałupę samopas ostawioną zagospodarować.

— Rzeczywiście. Udało się. Ojciec starosta nie pomógł?

Młody Mikołajski spuścił na chwilę wzrok i wzruszył ramionami.

— Słyszeliście może jakieś strzały dochodzące ze wsi? Huk jaki? Dotarł do was?

— Nie, towarzyszu komendancie. Od świtu w polu. Siał trzeba, by na jesień głodem nie przymierać.

— I nikt was jeszcze o niczym nie powiadomił? Tak sobie spokojnie siejecie, baba wyjechała, spokój na gospodarstwie?

Mimo sporego wysiłku, Mikołajskiemu nie udało się schować widocznego zdenerwowania. Co rusz spoglądał przez szybę w oknie, jakby czegoś wypatrywał. Jakby obawiał się, iż milicjant go okłamał. I wcale nie przyjechał sam. Na pytanie Konarskiego, wzruszył powtórnie ramionami.

— A wiecie towarzyszu Mikołajski, że ojciec już wam więcej nie pomoże? Że został zastrzelony z rana. Kula głowę przeszyła. Brutalne morderstwo. Egzekucja. Tak bym to nazwał.

Na tą nowinę, syn zabitego pochylił głowę i wbił wzrok w podłogę. Nic nie odpowiedział.

— Sąsiadkę waszą widziałem na miejscu. A wy nic nie słyszeliście? Nikt w te pędy tu nie przybiegł i nie poinformował?

— Tu cisza była towarzyszu — odrzekł cicho młody Mikołajski.

— A więc, to ja pierwszy złą nowinę przynoszę — stwierdził sucho Konarski. — Moje kondolencje towarzyszu Mikołajski. Moje kondolencje. Taka tragedia. Nie co dzień żona po trzydziestu latach małżeństwa męża zabija. Z zimną krwią. Ojciec denat. Matka morderczyni...

— Matka? — Ocknął się Mikołajski, podnosząc wzrok pełny szczerzego zdziwienia. — Jak to matka?

— Ano. Sama się przyznała. Z zimną krwią strzeliła. Ponoć znęcania znieść nie zdołała.

— Jak... To niemożliwe.

— Czyli stary Mikołajski nie bił matki?

Młody znów opuścił wzrok. Trudno było Konarskiemu rozeznąć, czy w celu zastanowienia się nad odpowiedzią, czy też ze wstydu przed prawdą.

— No to jak? Bił, czy nie bił? Prawdę matula rzekła?

Zapadła na chwilę cisza, którą zakłócało brzęczenie muchy krążącej po kuchni.

— Prawdę rzekła. Bił. I ją i mnie, gdy tam mieszkałem — przyznał zrezygnowanym głosem Mikołajski.

— Czyli miała powód — oznajmił spokojnie Konarski. — Ona przecież została. A wy się wynieśliście. Tu na skraj wioski — rzekł dobitnie oficer, bacznie obserwując rozmówcę. — Została, i w końcu nie zdzierżyła. To byłaby okoliczność, jak to się mówi, łagodząca. Ale nie przed tą hołotą z UB.

— UB? — Twarz Mikołajskiego była już szara jak płótno, jednak teraz wydawała się wręcz sina. Jakby cała krew uciekła gdzieś indziej.

— Ano. Przyjechali towarzysze z Urzędu Bezpieczeństwa i ją zabrali. Sprawa ponoć polityczna. W końcu zginął starosta. Żle to rokuje. — Milicjant obserwował jak przerażenie w oczach mężczyzny narasta. Konarski nie miał jednak zamiaru go oszczędzać. — Widzisz Mikołajski. Miłość matki jest nieskończona. Tak samo, jak determinacja przesłuchujących ubeków. To się może źle skończyć. — Oczy młodego zaszklily się od wilgoci. — Powiem więcej. To się na pewno źle skończy. Lepiej szykujcie dwie mogiły. Albo jedną wspólną. Dla obojga rodziców.

— Towarzyszu komendancie! Wyście porządni są, nie jak te szuje! — Mikołajskiemu z kącików oczu pociekły łzy, a głos drżał przy każdym wypowiedzianym słowie. — Poratujcie matulę! To na pewno nie ona!

— Jak nie ona, skoro się przyznała. — Stwierdził rzeczowo Konarski. — Mnie to wprawdzie wygląda na sprawę kryminalną. Zabójstwo w afekcie. Ale z ubecją nie ma żartów. Jak twierdzą, że polityczna, to bez silnych dowodów nie podchodź. Bo sam zostaniesz przesłuchany. Tedy nie mam powodów by jechać do miasta.

Mikołajski zamilkł. I zrozumiał. Długo nie zastanawiał, co dobrze o nim świadczyło.

— Towarzyszu komendancie. Ja to zrobiłem. Mnie zamknijcie. Matka jest niewinna.

— Słowa to są. Tylko słowa. A skąd mam wiedzieć, czy matuli ratować nie chcesz? Ja dowodów potrzebuję. Mnie winnych nakazali szukać. Nie tych, co ich w obronę biorą.

— Broń mam! Tą, z której strzelałem! — wypalił w odpowiedzi Mikołajski i zerwał się z krzesła. — Zaraz przyniosę. Lufa jeszcze ciepła. A starego mi nie żal! Ma, na co zasłużył!

* * *

Kamienica Urzędu Bezpieczeństwa była tą samą, w której w czasie wojny urzędowało gestapo. Konarski znał to miejsce. Wiele rzeczy zostało po starym. Sporo się też zmieniło. Jednak duch i atmosfera panujące w budynku wydawały się tożsame, bez względu na czasy i okoliczności. Ludzie tu pracujący też należeli do podobnego pokroju osobników. Milicjant nie chciał jednak przywoływać dawnych wspomnień. Zamierzał doprowadzić sprawę zabójstwa starosty do końca. W tym celu musiał przekonać siedzącego przed nim oficera UB, który najwyraźniej nie miał ochoty poświęcać mu ani chwili. Zamiast tego czytał gazetę.

— Towarzyszu kapitanie. Zatrzymaliście tutaj świadka w moim śledztwie. Barbarę Mikołajską. Ma ona kluczowe dla postępowania informacje. Muszę z nią porozmawiać.

— Towarzyszu poruczniku — ubek oderwał się od lektury i uważnie spojrzął w oczy Konarskiego — skoro ta kobieta jest tutaj, to znaczy, że to nie jest już wasze śledztwo —

choć kapitan mówił poprawną polszczyzną, to jednak jego pochodzenie zdradzał rosyjski akcent.

— Ona jest świadkiem w innej sprawie, towarzyszu kapitanie. Kryminalnej. Może mi pomóc w ustaleniu sprawy — nie dał się zbyć milicjant.

Ubek podniósł brwi, jakby oceniając intencje Konarskiego. W końcu, po chwili zastanowienia zdecydował.

— Dobrze. My już jej słuchali. Będziecie mieli łatwiej. Towarzysz was zaprowadzi do pokoju przesłuchań — ubek wskazał głową na stojącego przy drzwiach kaprała. — Jak coś powie, macie nam przekazać. Tymczasem jest wasza.

* * *

Rok 1950. Listopad

Konarski siedział przy starym, rozpadającym się biurku. Wprawdzie władze Polskiej Republiki Ludowej odtrąbiły wielki sukces *Planu Odbudowy Gospodarczej*, a także rozpoczęły realizację nowego planu sześcioletniego, to jednak dotychczasowe sukcesy ekonomiczne nie przełożyły się na sytuację na dalekiej prowincji. Jedynym dostrzegalnym tam efektem polityki rządu z Warszawy była masowa migracja chłopstwa do największych miejskich aglomeracji. Gdzie lud znajdował pracę w odbudowanych, lub nowo wybudowanych fabrykach i zakładach produkcyjnych. Wsie się wyludniały, nagła i niespodziewana reforma walutowa sprzed roku ograbiła obywateli z oszczędności, a lokalne posterunki milicji wciąż wyglądały jak zapadłe dziury, o których władza zdawała się zapominać.

Jednak Konarski wcale nie narzekał na brak uwagi ze strony zwierzchników i decydentów. Wręcz przeciwnie. Lepiej dla niego było, gdy ani jedni, ani drudzy nie wykazywali się zbytnim zainteresowaniem w stosunku do działalności kierowanego przez podporucznika posterunku. Mogliby wówczas zacząć zastanawiać się nad przyczynami wysokiej skuteczności placówki w zakresie rozwiązywania spraw kryminalnych. Tego rodzaju dociekliwość byłaby niezwykle frapująca dla Konarskiego. Oficer wzdrygnął się na samą myśl o takim scenariuszu. I z jeszcze większą niechęcią zerknął na leżące przed nim akta. Dotyczyły one kolejnej sprawy, którą milicjant zamierzał lada chwila zamknąć. Kandydat na sprawcę dokonanego rozboju siedział właśnie w celi na posterunku. Wystarczyło jedynie uświadomić go o przestępstwie, jakie popełnił, przedstawić zebrane, a w zasadzie podłożone dowody na jego winę i upewnić się, że zrozumiał istotę zarzucanego mu czynu. Z rozmyślań, wyrwał Konarskiego jeden z jego podwładnych. Szeregowy Dłutko, który zapukał w otwarte drzwi do pokoju dowódcy.

— Towarzyszu poruczniku!

— Słucham towarzyszu szeregowy?

— Przyszedł świadek w sprawie kryminalnej. Chciał zeznawać.

— W jakiej sprawie? Jaki świadek? Nazwisko? Imię?

— Nic więcej nie powiedział. Zwie się Igor Węgorzewski, towarzyszu poruczniku.

— Nie znam.

— Mówi, że świadkiem jest. Zbrodni znaczy. Tak utrzymuje. I tylko z towarzyszem porucznikiem chce rozmawiać.

— Wpuścić. I zamknąć za nim drzwi.

— Tak jest towarzyszu poruczniku.

Do pokoju wszedł zdziadziały, przygarbiony mężczyzna w starych łachmanach i kaloszach. Na widok oficera zdjął czapkę i począł ją nerwowo miętosić w rękach. Za wszelką cenę starał się przy tym unikać kontaktu wzrokowego. W jego oczach był widać strach i niepewność. Widok milicyjnego munduru i oficera siedzącego za biurkiem zawalonym stertą dokumentów musiał wzbudzić u dziadygi respekt wymieszany z pokorą i obawą. Co nie dziwiło w kontekście stosowanych przez służby mundurowe dość prostolinijnych metod działania. Podejmowanych w ramach wciąż jeszcze trwającej walki z bandyckimi ugrupowaniami występującymi przeciw władzy ludowej. Konarski wskazał na wolne krzesło stojące naprzeciw jego biurka.

— Siadajcie ojciec i mówcie zwięźle, co was sprowadza. Tak by nie marnować mojego czasu.

— Dziękuję łaskawy panie — rzekł tamten i zajął wskazane miejsce.

— Panowie byli przed wojną. Dziś jesteśmy równi, towarzyszu obywatelu. Więc? — Spytał Konarski z wyraźnym ponagleniem w głosie.

Starzec zerknął za siebie niepewnie, sprawdzając czy drzwi do pokoju rzeczywiście zostały zamknięte. Upewniwszy się o tym, na powrót obrócił głowę w stronę Konarskiego i w sposób zupełnie nieoczekiwany spojrział mu prosto w oczy. Oficer natychmiast zorientował się, że źle ocenił swojego gościa. Dopiero teraz dostrzegł, że mężczyzna wcale nie był taki stary, na jakiego z początku wyglądał. Ani tym bardziej bojaźliwy. Świdrujący Konarskiego wzrok świadczył raczej o pewności siebie, zdecydowaniu i bystrości umysłu jego właściciela. Igor Węgorzewski mógł być każdym innym, tylko nie zdziadziałym wiejskim chłopem bojącym się osób noszących mundury.

— Wiemy, co pan robi, panie poruczniku — oznajmił ze spokojem po krótkiej ciszy.

Konarskiemu natychmiast zrobiło się gorąco. Choć starał się zachować spokój i nie pokazywać po sobie emocji, to jego umysł podsuwał wciąż to nowe pytania, sugerując jednocześnie odpowiedzi. Te coraz bardziej przerażały oficera. Czyżby to był człowiek z Urzędu Bezpieczeństwa? Nakryli go? Czy wszystko się wydało?

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, towarzyszu obywatelu — dopiero po swoich słowach, oficer zorientował się, iż rozmówca, wbrew wcześniejszemu upomnieniu, wciąż używa starych form uprzejmościowych. To nie mógł być ubek, bo ci lubowali się w nowomowie. Jeśli nie ubek, to musiał być człowiek z konspiracji. Być może z Narodowych Sił Zbrojnych, lub innej, podobnej organizacji.

— Wiemy, co pan robi. Poruczniku Konarski — powtórzył z pełnym spokojem tamten.

— Mianowicie? — milicjant odzyskał kontenans i postanowił podjąć grę.

— Preparuje pan dowody. Manipuluje faktami. Wiemy o tym.

Konarski instynktownie zerknął w kierunku szuflady, w której leżał jego drugi pistolet. Odpinanie umocowanej do pasa kabury mogłoby dać przeciwnikowi zbyt wiele czasu. Tymczasem gotowa do strzału cezeta była schowana w zasięgu ręki. Jeśli rozmówca był nasłany przez NSZ, to mógł wnieść w ukryciu na posterunek broń i w każdej chwili wykonać wyrok. Mogła to być również skrzętnie przygotowana prowokacja Urzędu Bezpieczeństwa. A wówczas należało pozostać spokojnym i trzymać karty przy orderach. Oficer bijąc się z myślami, postanowił zyskać na czasie.

— Proszę podać jeden powód towarzyszu, dla którego nie miałbym was teraz skuć i wsadzić do celi obok. I spreparować, w czym według towarzysza obywatela jestem biegły, dowodów zapewniających mu długą odsiadkę.

— Ponieważ jestem tu, by pana ostrzec. A pan jest dość inteligentny, by to ostrzeżenie wziąć na poważnie.

— Doprawdy? Przed czym? Pytam z czystej ciekawości, bowiem zaraz zakończymy tą szopkę.

Konarski uniósł brwi w geście zdenerwowania, jednak na tamtym nie wywarło to żadnego wrażenia. Tajemniczy mężczyzna oparł się dłońmi o blat dzielącego obu rozmówców biurka, pochylił się ku milicjantowi i spokojnym, choć nieco cichszym głosem, kontynuował wywód.

— Urząd Bezpieczeństwa przygotował przeciwko panu prowokację. A pan połknął haczyk. Zatrzymał pan Stefana Nowickiego. Chorążego Narodowych Sił Zbrojnych. Znalazł Pan u niego dowody na przynależność do NSZ. Podrzucone i spreparowane przez ubeckie służby. Nasi ludzie nie przechowują w prywatnych domach niczego, co by ich mogło zdekonspirować.

— To dość odważna teza. W świetle wciąż zwiększającej się liczbie zatrzymanych i złapanych.

— Schwytani, to zwykle osoby postronne, które z własnej lub wbrew własnej woli udzieliły żołnierzom pomocy. Z cywili robi się więźniów politycznych. Prawdziwych żołnierzy, po zatrzymaniu, torturuje się na śmierć. Po czym *post factum* wydaje wyrok śmierci za zbrodnie i bandytyzm.

— W takim razie, czym różni się przypadek owego Stefana Nowickiego? Dlaczego Urząd Bezpieczeństwa zadał sobie trud spreparowania na niego dowodów na jego przynależność do NSZ? Skoro winien raczej trafić na listę zbrodniarzy i bandytów?

— Jak mówiłem. Ubecy przygotowali przeciwko panu prowokację. Wiedzą, że znalazł pan dokumenty świadczące o tak zwanej wyrotowej działalności Nowickiego. Zapewne już tu jadą, by zażądać od pana przekazania aresztanta. Czego pan swoim zwyczajem nie będzie chciał uczynić. Przedstawi pan dowody o charakterze czysto kryminalnym. I robi pan z chorążego zwykłego bandytę.

— Przed chwilą twierdziliście towarzyszu, że to Urząd Bezpieczeństwa przypina waszym ludziom łatki zbrodniarzy i bandytów.

— Rzeczywiście. W tym zakresie niewiele się Pan od nich różni. Jak mówiłem. Ubecja z patriotów i żołnierzy robi zbrodniarzy i bandytów. A zbrodniarzy i bandytów wyciąga z więzień, rekrutuje i kreuje na bohaterów. Wszakże, sam pan musi przyznać. Istnieje pewien niuans. Oni bestialsko torturują i mordują patriotów. Pan natomiast, ratuje im życie.

Węgorzewski zamilkł na chwilę i w zupełnej ciszy spoglądał na porucznika, czekając na jego reakcję. W końcu, jakby upewniając się, że trafił celnie, dodał:

— Nie znamy powodów, ale wiemy o tym. A pan zapewne zdaje sobie sprawę, że tych zamkniętych przez pana w więzieniu kryminalnym, staramy się odbijać. Często skutecznie. Oni wracają do służby.

— Bandyci, którzy uwalniają z cel innych bandytów. Nie upłynie wiele wody w Wiśle, a społeczeństwo uwierzy w taką narrację. Nie macie się czym szczycić. Przegrywacie. Przegrywacie nie tylko własne życie, ale i historię. Za dziesięć lat ludzie zapomną. Zostaniecie oficjalnie wyklęci. I nie będzie nikogo, kto by świadczył na waszą rzecz. Bo wszyscy zginiecie i zaprowadzicie do grobów tych co są wam przychylni.

— A mimo tego, robi pan to, co pan robi. Dlaczego?

* * *

Ten obraz miał go prześladować latami. Kobieta siedziała rozkraczona na drewnianym krześle, z przykutymi do niego rękami i nogami. Możliwe, że była nieprzytomna, bowiem

pochylona do przodu głowa zwisała bezwładnie. Na posadzce pod nią, uformowała się kałuża krwi, z której wylaniały się krwawe fragmenty ciała, a także wybite zęby. Zasznięte strupy oblepiały policzek przesłuchiwanej, jej włosy oraz miejsce, gdzie powinno znajdować się ucho. Profil starościny, o ile to była ona, wyglądał makabrycznie. Podobnie jak zakrwawione dłonie, z powyłamywanymi palcami. Pozbawionymi paznokci. Stopy Mikołajskiej zostały zmasakrowane w równym stopniu. Konarski nie mógł uwierzyć, że kobieta jeszcze żyła i zareagowała na krzyki i uderzenie pałąk w plecy, wymierzonej jej przez ubeckiego kaprała. Nigdy wcześniej, ani nigdy później porucznik nie musiał przesłuchiwać tak skatowanej i konającej osoby. A musiał to zrobić. Pod baczny okiem towarzyszącego mu ubeka.

Kilka dni później dowiedział się, że Mikołajska zmarła jeszcze tego samego dnia, w którym próbowano wyciągnąć z niej zeznania. Być może niedługo po tym, jak ją zostawił samą w pokoju przesłuchań. Miejscu kaźni. Kobieta nie zmieniła zdania i wzięła na siebie całą winę za śmierć męża. Konarski wcale zresztą nie naciskał. Zadał trzy zdawkowe pytania, otrzymując w odpowiedzi krótkie jęki. Za zabójstwo starosty należała się tylko jednak kara. A ta, została już wymierzona. Nie było sensu wydawać młodego Mikołajskiego. Nie po tym, co spotkało jego matkę. I nie po tym, jaką ofiarę złożyła. To pozbawiłoby jej postawę sensu. A Konarski chciał wówczas wierzyć, że to poświęcenie miało sens.

Gdy wrócił na prowincję i pojechał do Eugeniusza Mikołajskiego poinformować go, jak się sprawy mają, okazało się, że jego dom był pusty. Wyłamane drzwi chałupy świadczyły o tym, że gospodarz mógł zostać wyprowadzony siłą. Porucznik milicji domyślał się, jaki los go spotkał. Jednak nigdy nie spróbował tego potwierdzić.

* * *

— To ja wydałem rozkaz.

— Słucham?

— To ja rozkazałem młodemu Mikołajskiemu wykonać egzekucję na jego ojcu — doprecyzował Węgorzewski. — W zasadzie zgłosił się na ochotnika. Stary współpracował z ubecją. Doprowadził do pojmania i skatowania na śmierć Kosickiego i jego syna. Młody Kosicki, Janek, był w naszych strukturach. I wciągnął do nich Eugeniusza. Byli przyjaciółmi od dziecka.

— A teraz wszyscy nie żyją. Kosiccy, Mikołajscy. I wielu innych. Gdyby oceniać waszą działalność po efektach...

Węgorzewski momentalnie zacisnął szczęki i zastygł w oczekiwaniu na słowa kończące zdanie porucznika. Te jednak nie padły.

— Każdy sam wybiera swój los. Podług własnego sumienia. Nie panu oceniać ludzi, którzy na ochotnika oddali życie w imię idei i przyzwoitości — syknął przebrany za chłopca mężczyzna, z trudem utrzymując nerwy na wodzy.

— Na ochotnika? Oni nie są świadomi wagi decyzji, jakie podejmują. Na skutek wtłaczanego do ich umysłów mirażu. Pan i panu podobni wykorzystujecie ich młodą naiwność.

— To nie są moi podwładni. Często sami tworzą zorganizowane grupy. I chcą działać. Ja dzielę się tylko własnym doświadczeniem i sprawiam, że wysiłek kilku chłopaków nie kończy się strzałem w tył głowy już po pierwszej amatorskiej akcji. Nadaję kierunek ich działaniu, tak by było elementem większego planu. By przynosiło jakieś efekty. Daję im szansę, pożyć nieco dłużej. I czerpać satysfakcję z niewielkich, ale jednak sukcesów. Bo niektórzy wolą

walczyć, towarzyszu oficerze. Innym wystarczy kolaboracja — zakończył wywód Węgorzewski, wbijając wzrok wprost w oczy Konarskiego.

— Niektórzy zgina, inni będą żyć nadal — stwierdził filozoficznie porucznik. — Co mi do tego? Po co naprawdę pan tu przyszedł? Ostrzec kolaboranta? Uratować mi życie? Mam zaciągnąć jakiś dług wdzięczności? I być narzędziem w waszych rękach? Uprzedzam. Nic z tego. W każdej chwili mogę pana...

— Zanim przejdzie pan do gróźb, radzę wysłuchać mnie do końca — przerwał milicjantowi przybysz. — Nie mam zamiaru grać na pańskiej wdzięczności. Bo to ma krótkie nogi. Został pan uprzedzony. Jeśli będzie się pan starał uratować Stefka, dopadną pana. Jeśli go pan poświęci, może wyjdzie pan z tego cało. Jeśli tak się stanie, przyjdę ponownie. Wrócę tu, a pan będzie miał przygotowaną dla mnie odpowiedź. Jest pan prawdziwym lisem. Specjalistą w swoim fachu. I może pan zrobić z tego pożytek dla słusznej sprawy. Takiej, w której patrioci nie będą ginąć ścigani po lasach, a przeżyją. I będą mieli wpływ na ten nieszczęsny kraj. I zboląły naród. Pan to przemyśli. A być może, spotkamy się jeszcze. Powodzenia.

* * *

Swoją przyszłość, okupiłem ofiarą Stefana Nowickiego. Chorążego Narodowych Sił Zbrojnych. I poczułem do siebie pogardę. Poczułem pogardę, a następnie przyjąłem ofertę Węgorzewskiego, dzięki któremu przeżyłem i którego wizyta nie okazała się wybiegiem ubeków. Później było po staremu. Łapałem wskazanych żołnierzy NSZ, robiłem z nich zbrodniarzy i umieszczałem w więzieniach. A ubecja wyciągała ich z cel i wcielala do służby. Sądząc, że mają do czynienia z ludźmi swojego pokroju i wysyłając ich do walki z „reakcją”. To swoiste przeformowanie antykomunistycznych bojówek powstańczych trwało blisko trzy lata. Część skazanych odsiedziała swoje. Część popełniła samobójstwo. Nielicznym udało się rozpocząć karierę w służbach lub administracji. Byli niczym owce, w wilczych skórach. Zmuszone uczestniczyć w polowaniach. Ich wola. Sami się na to pisali.

Powstanie antykomunistyczne wygasło w 1953 roku. Stare państwo podziemne zostało zniszczone. Walka z komunizmem się jednak nie skończyła. Karabiny zostały zastąpione przez pióra i maszynopisy. Amunicja przez atrament. Okrzyki walczących przez nielegalne manifesty. A żołnierze, przez towarzyszy oficerów. Czasy tych, którzy za honor poszli na śmierć minęły. Przyszedł moment na tych, którzy za cenę honoru, postanowili walczyć dalej. Jedni i drudzy okazali się mieć słuszność. Jedni i drudzy, zapłacili swoją cenę. Ofiara tych zabitych, nie pozwalała zapomnieć tym żyjącym. Praca tych, co przeżyli, nie pozwoliła zapomnieć o tych, którzy oddali życie. Razem tworzyli dwie komory jednego serca. Te choć złamane, wciąż biło dalej. A ja byłem jedną z żył włączających do mechanizmu świeżą krew. Rekrutów. I patrzyłem jak zmagają się z rakiem trawiącym cały organizm. Cóż to była za walka. Wzloty i upadki. Sukcesy i porażki. Katastrofalna Operacja „Cezary” i wielkie chwile października 56 roku. Sprawy ucieczek Światły i Kuklińskiego. Wreszcie Solidarność, stan wojenny i transformacja. Komunizm upadł. Świat się zmienił. A walka trwa nadal. Choć czas, by toczyła się beze mnie.. Zrobiłem swoje.

Konarski drżącą ręką schował do kieszeni przekazaną mu kartkę, zawierającą krótki cytat. Rozejrzał się po płycie lotniska i spojrzął w nocne, zachmurzone niebo. Odetchnął głęboko, po czym podpierając się drewnianą laską, wszedł na pierwszy stopień schodów prowadzących do samolotu. Był 10 kwietnia 2010 roku.

* * *

— Wszedł na pokład. — Potwierdził mężczyzna, obserwując jak samolot zaczyna kołować.
— A więc stało się. — Usłyszał głos ze słuchawki telefonu komórkowego. — Nie pozostaje nic innego, niż pogratulować panu awansu. Przejmie pan wszystkie dokumenty Konarskiego, a następnie podejmie pan jego dotychczasową działalność. Musimy utrzymać przy tym ciągłość. To niezwykle istotne.
— A samolot? Jeśli ktoś się zorientuje?
— Leci nim osiemdziesięciu ośmiu pasażerów, czyli mniej więcej tylu, ile jest powodów, by ta maszyna nie wylądowała. Nikt nie będzie nic podejrzewać. Działamy zgodnie z wcześniej ustaloną procedurą. Nie zawieź.
Rozmówca rozłączył się. Tymczasem ciemna, niemal niewidoczna sylwetka Tu-154, oznaczona czerwonymi i żółtymi światłami, poderwała się do lotu.

Krzysztof Wojczal